

ŁAN MŁODZIEŻY

«MŁODOŚCI, TY NAD POZIOMY WYLATUJ!»

Rok III Nr 13 i 14

DWUTYGODNIK KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY POLSKIEJ · WYCHODZI 1^go^ i 15^go^ KAŻDEGO MIESIĄCA z WYJĄTKIEM LIPCA i SIERP. · REDAKCYA i ADMIN. · KRAKÓW

KRAKOW. ROK III. — NR. 13 i 14. 15 WRZEŚNIA 1910.

OGÓLNEGO ZBIORU NR. 45.

ŁAN MŁODZIEŻY

::: DWUTYGODNIK KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY POLSKIEJ. :::

WYCHODZI 15-GO KAŻDEGO MIESIĄCA Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA. — REDAKCYA I ADMIN.: KRAKÓW. BATOREGO 8.

Prenumerata wynosi: W Krakowie i Galicyi rocznie 5 kor., pojedynczy numer 50 hal. Z wysyłką pocztową 6 kor., pojedynczy numer 35 hal. — W Poznańskiem 6 M. pojed. numer 35 fen. — W Królestwie Polskiem i Ces. ros. 3 rs. pojed. numer 15 kop. — W Stanach Zjedn. p. Am. 1 dol. 50 cent. pojedynczy numer 10 cent. — We wszystkich innych krajach 7 franków, pojedynczy numer 40 cent.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Z pamiętnych wakacyi.

Nowy porządek dnia, inne placówki, a ta sama straż. Niby się nic nie zmieniło, a po Grunwaldzie wszyscy czujemy jakiś ożywczy prąd sił nowo rozbudzonych! Nieprzeliczeni — porachowaliśmy się sercami zgodnemi, nieznani — odgadnęliśmy dążeń różnorodnych — wytyczną jednę.

Obchód grunwaldzki naszego miasta nie był tylko chwilą: był jedną wypadkową lat długich, łez i pociech, trudu i jego niedoborów, bądź co bądź. W oczach naszych wieś — Cetynia, stała się królestwem, a my w trzech stolicach stutysięcznych i półmilionowych, liczyliśmy nasze braki społeczne, polityczne, ekonomiczne, przy pełni wzruszeń serdecznych. Nie jest to rachunek, który podpisujemy z dumą. Na to przyjdzie czas kiedyś — jak przyszedł przed półwiekiem. Okrzepieni z zdwojoną energią, nie słabnącą odwagą, wróciliśmy na zagon, by nie stać się ugorem — nieużytkiem narodów. W Krakowie zastępy młodzieży powitały nasz piękny pomnik: Praojcom na chwałę — wnukom na otuchę. Każdy z młodych może kiedyś, jak nasz sławny mistrz Paderewski, być dawcą i twórcą pomników, może kuć arcydzieła oświatowe, kulturalne, rzeźbiąc w doskonałości czynu dzisiejszego chwilę obecną. I »Łan Młodzieży« do tego dążyć będzie z Wami.

Nasi koloniści coraz to więcej dają nam rękojmię wytworzenia zwartych i karnych szeregów.

Jeden z laureatów naszego konkursu, p. Wierzbiński,

wyjechał do Pragi 17 lipca. P. Władysław Gąsiorowski (nagroda I) właśnie obecnie jest w Londynie i w tej chwili może przebiega British Museum, albo się spina po kopule św. Pawła, która, sądząc po przesyłanych nam notatkach, przypomina mu niebezpieczeństwem »Rysy tatrzańskie«.

Obmyśliliśmy w dalszym ciągu cały szereg miłych dla młodzieży projektów. Zaczynamy od illustracyi naszego pisma, które będą z pewnością mile powitane, z tą drugą zmianą, że dwa numera będą odtąd wychodzić równocześnie, w połowie każdego miesiąca i pomimo zwiększonych kosztów wydawnictwa, bez podniesienia prenumeraty.

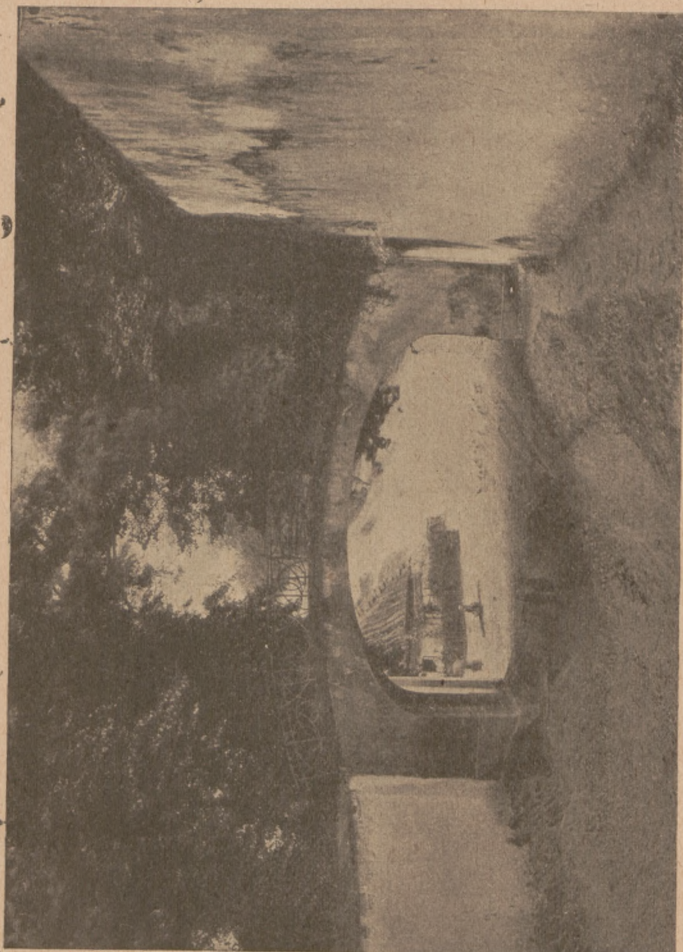
Redakcya.

Celowe wywczasy.

Proszę się nie przerażać! Nie wszystkich »Łan Młodzieży« umyślił zaprządz do pracy fizycznej. Ogromnej większości letników życzy dobrej zabawy u wód, przyjemnych marzeń u mostów, nad pianą wartkich potoków, wśród parku naszych dworów, w górach i naprzeciw ruin. Prosimy tylko o jedno i to najwięcej zmęczone i wyczytane oczy. Niech odpoczywają patrząc na piękno przyrody i zabytków naszego kraju. To je orzeźwi, niejedne pary oczu błękitnych, szarych i czarnych uzdrowi, co więcej — wypiękni! Bo każda myśl rozumna odzwierciedli się umiłowaniem rzeczy, której opowiadać będziemy dobrą nowinę naszego zajęcia i zrozumienia.

Rozszerzy się granica naszego miasta, uchyli się kordon zaboru, podzielimy się wszyscy tem pięknem, które jeden z nas oglądał i podziwiał. A stanie się to, gdy nasz przyjaciel-turysta naszkicuje piękny w swej prostocie most sprzęgający dwa odwieczne ogrody (1), lub przerzucony lekko nad jarem górskim (2). Inny szczęśliwiec, którego krewni lub znajomi zaprosili na: »wieś spokojną, wieś wesołą« i wyrwali z grożącego mu kurhauzu i festynów z garściami confetti i utrapionymi fantami tomboli, w ten sposób zapłaci nam wszystkim za swój los godny zazdrości, że odfotografuje i przywiezie nam śliczny stary spichlerz z podcieniami (3) sobotami, jak się nazywają podobno te śliczne kryte galerye

wiejskich kościołów, domostw odwiecznych, oryginalnych od piwnicy na strych, jak to widać na rysunku Nr. 4 o dwu bliźniaczych dachach zrośniętych, czy jeżeli kto woli, jednym rozłupanym, dla ujęcia ciężaru sadybie prastarej. Ci, którzy



1. Most wiszący w Niedźwiedziu (Król. Polskie).

się wybrali Wisłą do Gdańska, niech także nie zmarnują widoków po drodze. Klonowicz raz się przejechał galarem i dał Polakom »Flisa«, po wszystkie wieki dotąd nie wzbogacony dar i my jeszcze oczyma jego patrzymy na grody nadwiślańskie. Jeżeliśmy im nie przyczynili piękności i nie

dobudowali nic godniejszego widzenia od koronkowej atyki na domu Długosza w Sandomierzu (5), przywieźmyż chociaż podobiznę tego co jest, jako dokument, że nie wszystko je-



2. Most kolejowy w Jaremczu.

szcze rozsypało się w gruzy, nawet sztuczne ruiny teatru w Łazienkach warszawskich (6), które zdejmować można w nieskończoność z coraz to więcej malowniczego punktu.

Dowiemy się, że mamy doskonale zachowane patrycyuszowskie siedziby, jak zamek w Baranowie nad Wisłą (7),

równie ciekawy od strony dziedzińca, tchnący na wskróś całym urokiem Odrodzenia, utajonego w tych murach pamiętnych. A ci z nas, którzy posunęli się najdalej: na Wolę Justowską, niechże nie wracają z próżnemi rękoma. Jest tam pałac renesansowy o ciekawych motywach budowlanych i kęp zieleni godnych kliszy fotograficznej (8).

Choćbyśmy mieli tylko zauważyć ładny zrąb muru usłany aksamitem mchu, lub inny mur »gięty jak łodyga kwia-

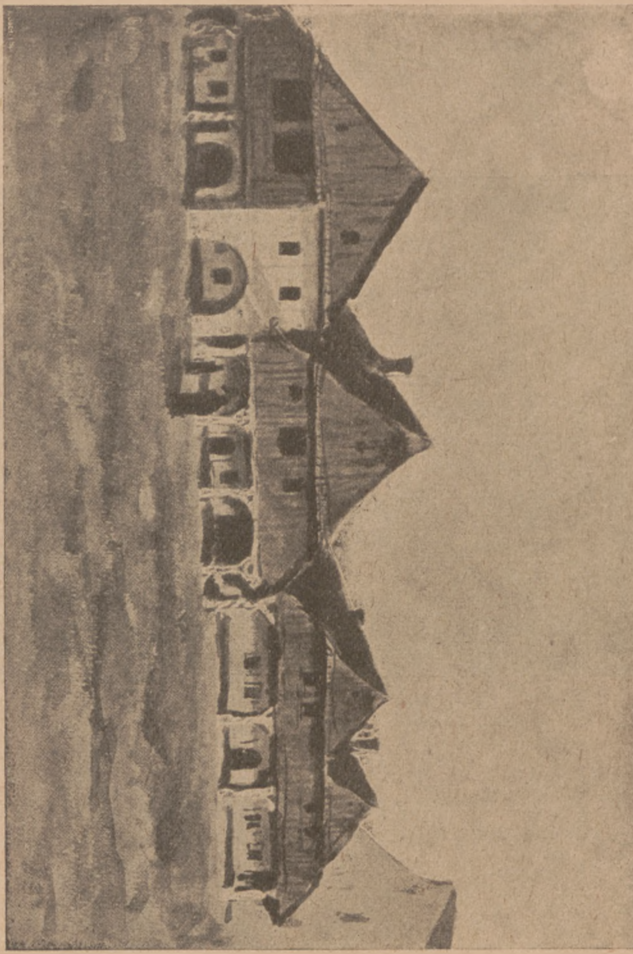


3. Spichrz z okolic Poznania.

towa« (ryc. 9), mogę upewnić, że wszystko to, jako iścizna narodowa, jest nam drogie i pożądane, że patrzyć na nią będziemy skwapliwie i z rozradowaniem. Powiedział kiedyś Nietzsche: »Wer jemand etwas selig anschaut, der besitzt was er anschaut. Sieh du jetzt, weisst du was du Eigenthum ist?«

Otóż aby tą idealną własnością narodową, niby chlebem żywota, niby komunią miłości, piękna kraju, podzielić się z robotnikiem fabryk łódzkich i dziedzicem prastarego herbownego gniazda, z architektem, który tworzy nowe kształty i z dziećmi wstępującemi do budynków szkolnych, grono osób dobrej woli będzie stało w pogotowiu na usługach piękna naszej ziemi.

Panna Ewa Łuskina myśl drogą wielu, a przystępną wszystkim, poruszyła wymownie w swej: »Obronie piękności kraju«. Ze znakomitego dziełka tego wyjęliśmy nasze ry-



4. Domy w Jabłonkowie (Śląsk austryacki).

ciny i przyrzekliśmy święcie młodzież naszą zaprosić do należenia bez jednego wyjątku do Towarzystwa upiększenia kraju. Nie szpecić go, poznawać go samemu, dać poznawać nam wszystkim. To cel i obowiązki, które od zamiatacza ulicy, do głowy grodu, od ucznia sztuby do

kierownika szkół i posiadacza włości, możemy każdy spełniać. A najchętniejsi niech nas już od dziś uwiadamiają o swych usiłowaniach i przyślą do naszej Redakcyi fotografie, szkice, uwagi w tym kierunku z minionych właśnie wakacyi.

U wrót nowego życia.

W tym roku, z otrzymaniem seminaryjnego świadectwa dojrzałości, szereg drogich przyjaciółek »Łanu Młodzieży« rozproszy się po różnych dalszych i bliższych powiatach Galicyi, by jako nauczycielki tymczasowe wejść w szeregi pokornych oraczy szkolnictwa ludowego.



5. Ratusz w Sandomierzu.

Całem sercem wysyłamy za niemi życzenia: »Boże szczęść«! Prowadźcie dobre duchy narodu naszego i zawodu wychowawców! Niech wam się rozzłoci polska cudowna jesień złotem wrześniowem i purpurą liści sadów i borów; niech cisza wsi naszej ukoi waszą tęsknotę za bliższymi jeszcze, niż ukochana z dala, a tak biedna dziatwa naszego ludu; niech się wasza skromna izdebka pod słomianą strzechą zaludni w lot górnemi myślami, które piastowały was przez tyle lat studyów przygotowawczych, do tego pierwszego katalogu, do tych pierwszych wpisów, do chwili, kiedy już raz przecież stanęłyście na wprost klasy nabitej płowemi głowami. I oto od dziś będziecie odpowiedzialne na całe życie. Ci malcy powiedzą kiedyś: W szkole dobrze mnie nauczyli — albo: w szkole nie dbali o mnie, lub też: w szkole zrobili mnie człowiekiem.

Ile to wam trzeba teraz odwagi, by poważnie, a jednak z pogodą trzymać w karności tych dryblasów, przytupujących jak źrebaki u pojenia!

Ile cierpliwości, aby tych małych urwiszów ze szkołą oswoić, nauczyć ich patrzyć, słuchać, rozumieć!

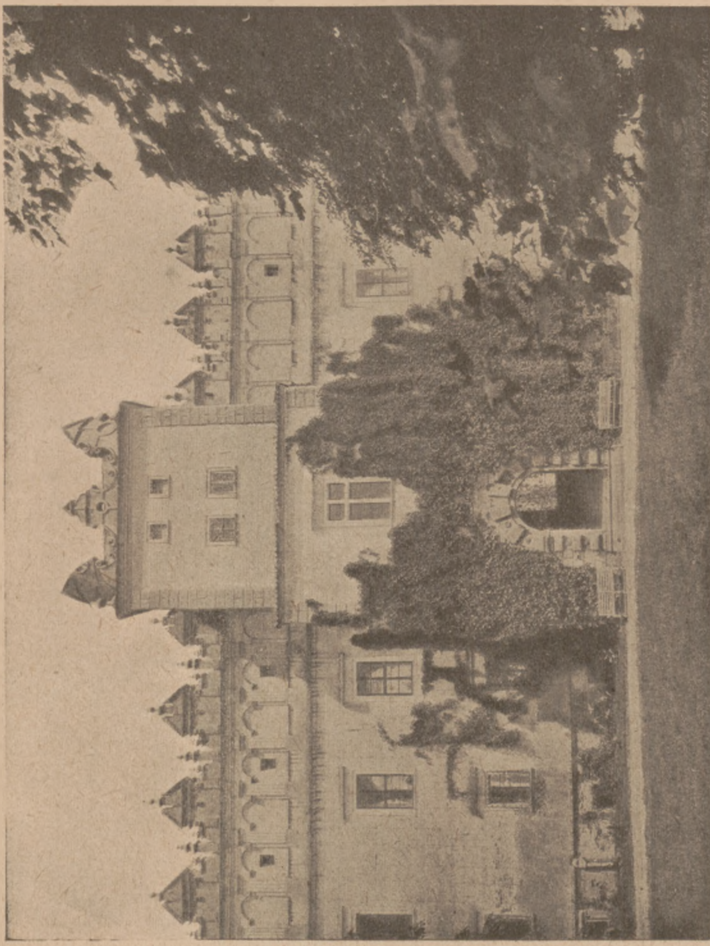
Ile w stosunkach z rodzicami, z władzą trzeba wam taktu, miary, stanowczej a nieugiętej dobroci!



6. Ogród w «Łazienkach» w Warszawie.

Upłacze się niejedna z was, drogie moje, niby to jakie skamlące stworzenie, wywiezione w menażeryi ludzkiej między obce i nieznane. Patrzą się na nią, ona na nie, inaczej mówią, co innego jedzą, gdzieindziej stawiają życiowy interes. Co tu robić?

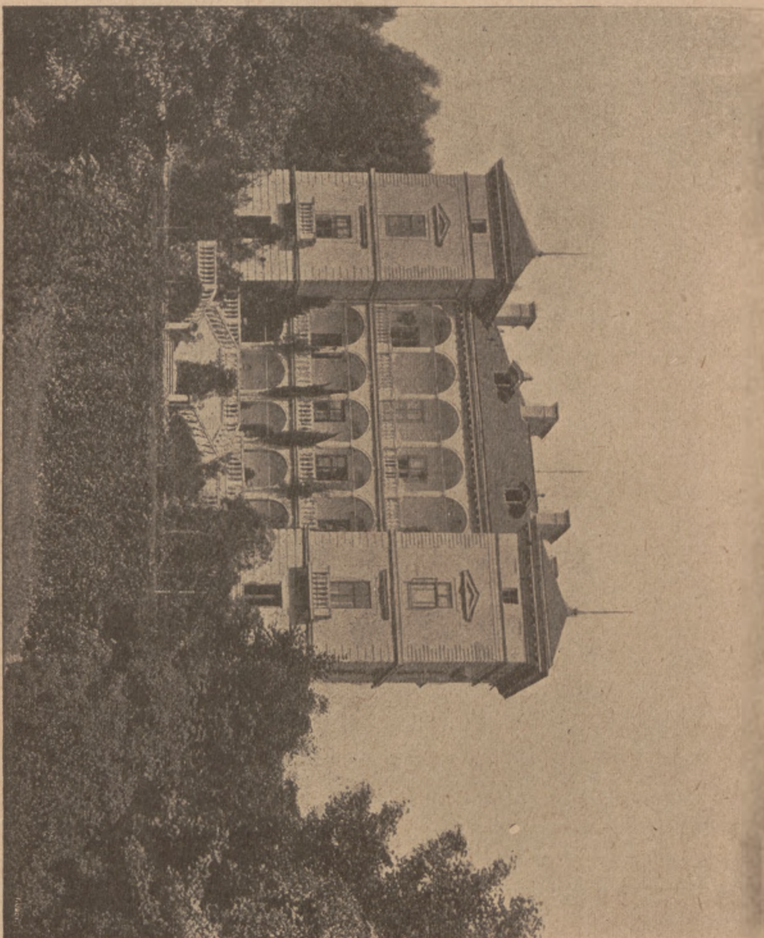
Po pierwsze, nie martwić się! Otrzyć do sucha kochane, błyszczące od płaczu oczyska — i powiedzieć sobie: To początek! Mam być i będę łącznikiem tych dwu światów



7. Pałac w Baranowie.

odrębnych: kultury, wykwintu, postępu miasta i zdrowej, błogosławionej pracy wsi, trochę grubej, trochę szorstkiej, ale tak dostojnej w swej twardości, tak wartej poznania, ciekawych pytań, życzliwego, a bacznegc słowa, by to spotkanie z miastem ułatwić nie w szynku, jak się to dzieje, i w gorszej jeszcze piątorzędnej kawiarni, ale w Kasie oszczęd-

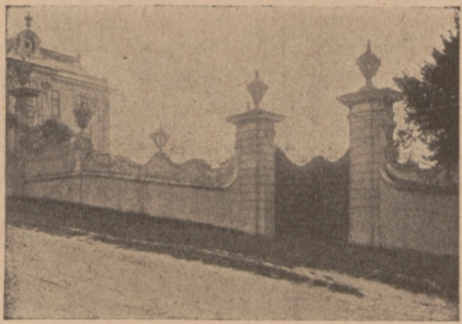
ności, w Towarzystwach rolniczych, ogrodniczych, oświatowych, wreszcie w jadłodajniach bezalkoholowych, dokąd wy, a nie kto inny, macie przedewszystkiem pokazywać drogę teraźniejszym i przyszłym zastępom chłopów polskich.



8. Pałac w Woli Justowskiej pod Krakowem.

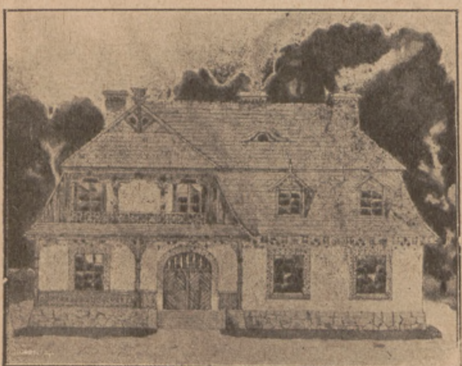
Nie dokonacie tego może radą, ani perswazyą, ale gdzieś, kiedyś, słowem, wskazówki, siłą niezłomnego własnego przekonania, a mądrą świadomością, co czynicie i dla jakich celów dobrobytu materyalnęgo i moralnego ludu, sięgającego ku wam po chleb duszy.

Cel tak święty, sprawa tak delikatna i trudna, że nie godzi się wam ani chwili czasu tracić nad sobą i nad rozpamiętywaniem swoich żałości. Macie się dużo nowego nauczyć: położenie obecne zaskoczy was niejednokrotnie. Bez obawy o swą »patentowaną« świeżo dojrzałość, wezwijcie czasem do dorady starszej gospodyni, to wam otworzy wiele serc prostych a chętnych do usługi i szczęśliwych: samem poczuciem swojej użyteczności.



9. Mur i brama przy kościele św. Jura we Lwowie.

Nie mówię nawet o tem, byście strzegły zazdrośnie swej godności. Poufałość wszelka byłaby karygodną. Niech myśl nawet, nietylko spojrzenie dosięgnąć was nie potrafi na nietykalnej wyżynie waszego stanowiska.



10. Szkoła wiejska, projekt p. L. Wojtyczki, nagrodzony na konkursie.

Są podobno nauczycielki, nie trzymające na wodzy swych zmysłów. Mówią o nich gospodarze z politowaniem, parobki i dziewczęta z drwinami.

Gdzie jest w tym wypadku misya wychowawczyni? tej matki z wyboru!

Strach pomyśleć, jak zepsuć się może najlepsza rzecz!

A dwór, jeśli jest!

Jak was powita? Czy przygarnie jak członka swojej sfery, ułatwi stosunki? Czy dostarczy godziwej rozrywki, rozmów pełnych treści, któreby dopełniły waszego doświadczenia. To jest bardzo wątpliwe. Jedni patrzą nieufnie, jak na agitatorkę, drudzy krytycznie, jak na pośledniejszy gatunek inteligencyi zarob-

kującej, nie dość salonowy, mało lub wcale niedekoracyjny, wątpliwej wytworności manier, zbyt skromnego stroju.

Miejcież się na baczności. Nie bądźcie intruzami, nie narzucajcie swego towarzystwa, ale nikt wam nie broni postawić się tak, aby ono było poszukiwane. Kobiecą zręcznością szybko się w położeniu rozpatrzcie. Z odrobiną zmysłu spostrzegawczego, z trochą dobrej woli, przypomnicie sobie drobne towarzyskie zwyczaje i formy, które troski matury może wam zasunęły w niepamięć. Nie pomijajcie sposobności okazania, że gotowe jesteście być użyteczne każdej dobrej sprawie, prywatnej czy ogólnej. Niech kwadrans lektury poważnej, rano, po modlitwie, a z niej jedna myśl dobra, naoliwi wasz dzień, aby zapobiedz zgrzytom dnia całego a dostroić Was do harmonii dusz wspaniałych i zasobnych; teraz dopiero, na osobności nauczycie się żyć wedle ich rad, biernie przyswojonych niegdyś. Szczęść wam Boże! *Biruta.*

Z Kongresu hygieny szkolnej w Paryżu.

Licznie gromadziliśmy się w dziale naszej wystawy szkolnej, raz żeby się wspólnie porozumiewać i rozdzielać prace między Polonię trzech zaborów, powtóre by objaśniać gości różnych narodów o znaczeniu okazów i zbiorów. Chwalono nasze »próbki« szkolnictwa ogółem bardzo. Codzień znikały duże stosy broszury Dra Piaseckiego ze Lwowa p. t.: »Les écoles polonaises et leurs conditions hygiéniques«. I kilkadziesiąt numerów naszego »Łanu« rozchwytano w lot. Między nami mówiąc, były to jedyne dokumenty prasy polskiej, dające sprawozdanie o hygienie ciała i duszy naszej młodzieży. Inne kraje kilkudziesięciu państw świata były gorliwsze. I gdyby nie ta biedna Galicya, sławna u naszych braci z za kordonów z nieuctwa i ospałości, nie byłoby wiele śladu o nas w tym dorobku wszechświatowym dla dobra przyszłej ludzkości. Dr Bujwid, sam członek ustawicznego komitetu dla spraw hygieny, z trudem dobierał towarzyszy każdej z naszych dzielnic. Te prace jednak które, były — zyskały wiele życzliwej oceny. O robo-

tach slöjdowych uczniów pana Orszulskiego w warsztatach Dra Jordana, powiedział mi jeden Finlandczyk: »Ce n'est plus du talent! c'est du génie!«

Za broszurę Dra Piaseckiego dziękował autorowi prezes Dr Matthieu na publicznem posiedzeniu plenarnem w auli Sorbony.

»Łan Młodzieży« w VI sekcyi kolonij wakacyjnych, doznał niemal owacyj.

Nie mieliśmy wprawdzie żadnych zamiarów publicznego występu, pojechaliśmy się przypatrywać i uczyć. Gdy jednak prof. dr Valran z Aix w Prowancyi zaprojektował jako nieśmiałe życzenie, umieszczanie uczniów w czasie wakacyj w innych warunkach i odmiennem środowisku dla wzbogacenia ich spostrzeżeń w pracy zarobkowej na wsi, aby młodzież przyzwyczaić do szacunku każdego zajęcia, a wyrwać ją z przeludnionych miast, nie można było pominąć milczeniem, że »Łan Młodzieży« przed trzema laty dał pierwsze potrącenie do tejsamej akcyi, a dziś rozporządza już niezłym materyałem doświadczenia.

Domagano się szczegółów o naszych koloniach prac wakacyjnych. Nasze zarządzenia uznano za przezorne i zbawienne. Po gromkich oklaskach prawie cała sala złożyła mi bilety wizytowe, adresy, zamieniając zdania i projekty. Francya okazała się gotową w przyszłym roku przyjąć naszych kolonistów w wyborowych środowiskach.

Otwiera się więc przed nami dalszy horyzont pierwotnej myśli. Oby nam tylko swoi tymczasem za dużo śrutu nie wpakowali do skrzydeł. Rada jednak osób doświadczonych będzie nam pożądaną, prosimy o zdanie rodziców, wychowawców i młodzieży. *m. p.*

Z nad Bałtyku.

Z roku na rok coraz liczniejszy zastęp zwolenników zjednywa sobie idea pracy fizycznej przez wakacye. Coraz częściej trafia się kolega, oznajmiający przy powakacyjnem powitaniu: — pracowałem, zarobiłem nieco, czuję się zdrów i wielce ze siebie zadowolony. To też koledzy, niemający

środków na wyjazdy, góry, wycieczki, nieznajdujący w domu ciąglejszego zajęcia i skazani na wielce szkodliwe nic-nierobienie, które powoduje nudę, przygnębienie i dokuczliwy stan rozdrażnienia, zwłaszcza, jeżeli w okolicy studentów niema, koledzy tacy postanawiają sobie święcie na przyszły rok o jakie zajęcie się postarać. Lecz często dobre chęci rozbijają się o trudności, jakie nasuwa samorzutne szukanie pracy.

Okoliczność powyższa wskazuje na potrzebę jakiejś zorganizowanej akcyi w tym kierunku. O taką akcyę, ułatwiającą młodzieży wyszukanie zajęcia, dającej możność wyboru, pośredniczącej między pracodawcami a młodymi ochotnikami, wołał już ksiądz Gołba, jeden z najczynniejszych propagatorów naszej idei, w obszernym na ten temat artykule, który, zdaje mi się z końcem roku szkolnego 1908/9, w »Czasie« czytałem. To jednak echa należnego nie znalazło — młodzież musi sobie sama w dalszym ciągu radzić. Zdaje mi się, że nie mylę się, twierdząc, iż dzisiaj jedynie redakcya »Łanu Młodzieży« usiłuje w coraz szerszym zakresie organizować kolonie pracy wakacyjnej.

Myśl wysłania młodzieży aż nad morze jest wyższem pojęciem naszej idei. Do korzyści, jakie płyną z samej pracy fizycznej, dodaje ona, pobieżne choćby, zwiedzenie szerszego świata, poznanie zupełnie obcego środowiska. Ta druga część zdobyczy, sama dla siebie, byłaby już pięknem przedsięwzięciem wakacyjnem, a cóż dopiero w połączeniu z pracą, która i spełnia swoje zadanie, i umożliwa zamiar pierwszy, dając nam utrzymanie i koszta podróży — jeżeli nie w całości, to przynajmniej w połowie.

Właśnie z wycieczki pomorskiej mam zamiar zdać w dalszym ciągu sprawę:

Wyruszyło nas trzech z Krakowa, nadto dwóch królewiaków, którzy jednak, zamierzając tylko morze zobaczyć i nieco przyjemności nadmorskiej użyć, po tygodniowej pracy, podążyli dalej.

Piękne, willami i parkami zasłane, miasteczko Stolpmünde, położone między Gdańskiem a Kołobrzegiem, szczęśliwie wybrane zostało. Jako port, stawiało ono przed oczy barwny, a dia nas z kontynentu nadzwyczaj ciekawy i oryginalny, obraz ruchliwego, energicznego, tężyzną i bezwglę-

dnością nacechowanego, życia handlowo-morskiego — i więcej romantycznego, lecz również szorstkością, znojem i hartem tchnącego, życia rybaków. Kto codziennie przez kilka tygodni na wszystko z zajęciem i chciwością patrzył — i sam brał czynny udział w rozlicznych pracach portowych, wreszcie o wiele rzeczy się pytał, ten nietylko ogólne pojęcie sobie wytworzyć, lecz mógł istotę całego ruchu zrozumieć i odczuć.

Ludność tamtejszą w połowie tworzy stan robotników portowych, zarabiających 15 do 18 marek tygodniowo — między tymi pracuje dużo kobiet; druga zaś połowa trudni się rybołowstwem. Wśród tej można spotkać piękne typy Pomorzan, ludzi nadzwyczaj rosłych, wprost olbrzymów, jakich u nas nigdy się nie spotyka — o piersiach jak miechy, barach niedźwiedzich, twarzy potężnej, czerwonej, której grube, pełne charakteru, rysy zdają się być w kamieniu rżnięte; zarost strzyżony, sięgający tylko pod brodę, stanowi główną ich cechę charakterystyczną. Do tej zasadniczej ludności dodać należy garstkę kupców, restauratorów, różnych przedsiębiorców i urzędników cłowych, kontrolujących przywożony i wywożony towar — wreszcie żywioł obcy, przejezdny, jaki tworzą załogi lądujących parowców i żaglowców. W lipcu i połowie sierpnia, to jest w sezonie kąpielowym, zjeżdża tam corocznie do czterech tysięcy gości, między którymi trafia się kilka rodzin polskich, najczęściej z Warszawy. Z mową polską spotkać się było można także w okolicy, wśród ludności robotniczej. Byli to Polacy z Królestwa, przybywający tu corocznie, jako robotnicy rolni, gdyż tych na Pomorzu, jak wogóle w całem królestwie pruskiem, brak, podczas gdy robotników przemysłowych aż nadto.

Pomorzanie, uważający się za Prusaków, przyjmowali nas na ogół życzliwie, powszechnie mieli nas za Austryaków. O antagoniźmie polsko-pruskim nic tam nie słychać, gdyż o Polakach nie wiele na ogół wiedzą. Naturalnie, że spotykaliśmy się i z butnymi, pewnymi siebie i opryskliwymi osobnikami; lecz tym należało tylko okazać, że pomiatać sobą nie pozwolimy, aby traktowali nas należycie. Robotnicy pracujący tęgo, odżywiają się dobrze, mieszkają dostatnio; umyślnie zapraszałem się, aby zwiedzić kilka mieszkań.

Alkoholu używają więcej, niż u nas; każdy robotnik ma przy sobie flaszkę z wódką i tabakę.

Głębsze spostrzeżenia uniemożliwiało nam trudne oryentowanie się w języku dolno-niemieckim, t. zw. plattdeutsch, z którego z początkiem, prócz wyrazów: jo, ne, wat, jut, kimmen, nic domyśleć się nie było można. Mimo tego jednak wiele charakterystycznych rysów zdołaliśmy sobie przyswoić.

Takie w ogólnych zarysach było środowisko, wśród którego pracowaliśmy.

Zatrudnienie nasze było rozmaite. Najczęściej pracowaliśmy w składzie spirytusu do palenia, który pompowaliśmy do wagonów kolejowych i okrętów; to znowu toczyliśmy i ważyli próżne beczki, albo też pomagaliśmy przy ładowaniu i wyładowywaniu parowców. Tutaj miało się do czynienia z rozmaitymi towarami, jak papier, pasta, klocki drzewa, przywożonego z Rosyi i rozwożonego następnie do różnych papierni, deski itd. Kilka dni przebywaliśmy nawet wewnątrz, na samym spodzie okrętu »Karlsruhe«, gdzie, mając w jednej ręce lampkę oliwną, a w drugiej ostry młotek, odbijaliśmy rdzę.

Wogóle praca lekka nie była, lecz wnet przyzwyczailiśmy się, wzmocnili i pracowaliśmy z całym zapałem. Całymi dniami na polu, na słońcu, w koszuli rozpiętej, z zakasanemi rękoma, wdychaliśmy z rozkoszą morskie powietrze, a w każdy tydzień z zadowoleniem oglądaliśmy w oczach rozwijające się muszkuły. Zarabialiśmy 15 Mk tygodniowo, z tych, odliczywszy koszta utrzymania i wydatki niedzielne, oszczędzaliśmy 4 Mk na powrót.

Decydującym czynnikiem w całem naszem przedsięwzięciu było naturalnie morze. Już na kilka kilometrów przed Stolpmünde czyhaliśmy na jego widok, aż wreszcie, już po 11-tej godzinie w nocy, dotarliśmy na molo. Jestto jeden z dwóch potężnych murów, wpuszczonych na 500 metrów w morze, stanowiących przedłużenie kanału portowego. W ten sposób zaradza się przybrzeżnej płytkości i umożliwia wpływanie statków do portu. W pierwszej chwili człowiek wierzyć nie chce, że rzeczywiście znalazł się nad morzem; patrzy to w dal, to najbliżej, to znowu wokoło, szukając największej sumy widoków i wrażeń. Tymczasem

wszędzie jednostajność — oko nie ma na czem zatrzymać się. Powoli dopiero zaczyna interesować ta półkolista przestrzeń, zamknięta horyzontem, poza którym wyobraźnia widzi dalsze, rozkołysane obszary, uderzające aż hen o skały Szwecyi. Głębie ciemnych, gęstych wód — naprawdę słonych — dziwnie pociągających, rozlewają się na kapryśnej, ruchliwej powierzchni w tysiączne większe lub mniejsze wzgórza i doliny, niepewne, jak łan zboża łagodnie, miękko falujące. Jeśli z molo zawrócimy ku brzegowi, uderzy nas odmienny widok. Tu odbywa się gonitwa fal, zrywających się raz po raz, jedna za drugą, zamaszyście długim wałem atakujących piasczyste, łagodnie wznoszące się wybrzeże. To właśnie wzniesienie stanowi zasadzkę. Wnet bowiem spodnie warstwy fal osiadają na mieliźnie, a wierzchy, czyto niemogące się już powstrzymać, czy też zbyt siebie pewne, pędzą dalej, aż straciwszy grunt pod nogami, przewalają się, i wzdłuż całej długości się rozrywając, pienią się, rzucają i szumią ze złości, czy z żalu. Udobruchawszy się wreszcie, z pokorą i niewolniczem poddaniem, spokojnie dopływają do brzegu, by złożyć dań w muszlach i pięknych kamykach, i następnie ze wstydem się cofnąć.

Wspanialszy jest obraz morza wzburzonego. Niemcy powiadają: »die See brandet«. Na to hasło tak mężczyźni, jak i młode kobiety, piękne i brzydkie, pelerynami otulone, spieszą na molo. Mniej odważni zostają przy brzegu. Ci mają przed sobą śnieżne wyspy piany, skowyczącej, wzdymającej się i walczącej ze sobą, by potem z dziką radością rzucić się na białe piaski wybrzeżne, pokryte jeszcze mnóstwem koszów, od wiatru chroniących — barwnych postaci kobiet, i dzieci, łopatkami i wiaderkami uszczęśliwionych. Śmielsi natomiast, którzy, idąc po molo, zapuszczają się głębiej w morze, wytrzymują raz po raz złowrogie szturmy fal, które, jakby zaprzysiągłszy sobie zniszczyć dzieło rąk ludzkich, nie zniechęcają się swoją bezsilnością. Tyle ich zemsty, że roztrzaskawszy się o kamienie, deszczem słonej wody spadają na przechodzących. Dawniejsze, łagodnie zmieniające się wzgórza i doliny, okazują się teraz wilkami w owczej skórze. Pełne życia, rozmachu i brawury, kłębią się, wspinają, cofają, złoszcząc i podniecając do napaści i grozy swe otoczenie. Spiętrzone bałwany, złowrogie w swej

masie i sile rozpędu, wpadają ustawicznie między rozszerzone, zaokrąglone i latarniami opatrzone, kończyny obydwu moli, sięgając wysokości ochronnych murów. Zapadająca noc, drugie, równie fantastycznie spienione morze chmur nad głową i migające, jak błyskawice, sygnały sąsiednich stacyj ratunkowych, zwiększają grozę.

Zmoczony i zbity rozpryskującemi się strugami, wracałem nieraz z opisanym obrazem w duszy do domu, pałając żądzą, bym kiedy na pełnem morzu mógł oglądać rozhukany żywioł.

Rozkoszną jest jazda łódką po morzu.

Pewnego razu, po pracy, puściliśmy się we dwójkę. Wypłynąwszy z portu, dostajemy się w owe ruchliwe zagłębienia i wypukłości, które z początku poważny lęk wzbudzają. Słabo bowiem obciążona łódź nie stawia fali najmniejszego oporu, jakby z lubością jej się poddaje. Atoli wnet oswajamy się z wyjeżdżaniem i zsuwaniem się po mijanych szybko wałach, przyczem, gdy jeden z nas osiąga już wierzchołek drugi mozoli się jeszcze na dole — następnie role się zmieniają. Zabudowania portowe oddalają się nam coraz bardziej, skupiając się równocześnie. My zaś, rozbawiwszy się, zwracamy łódkę bokiem do fal, tak, że całą swą długością na nie wyjeżdża, i oddajemy się kołysaniu, po poprzedniem złożeniu wioseł. Tymczasem złocista tarcza słońca ostatnie blaski rzuca na lśniące się wody, przepalane również złocistą czerwienią barwionem odbiciem — aż znika, zanurzając się w chłodzące głębie. Niespostrzeżenie i Stolpmünde znikło nam z oczu, a mrok jął otulać wilgłą powierzchnię. Nas natomiast owionął lęk, jakiś tęskny — przyjemny. Zrzuciwszy z siebie bluzkę, podkasałem rękawy koszuli, zatoczyłem łódką półkole, i z zdwojoną energią począłem wiosłować z powrotem. (Dok. nast.)

Stanisław Dwornik.

Marzenie.

Rwałem na kwietnej łące
Polne maki, bławaty —
Takie smętne — rosnące
wśród zbóż...

A wiatr cichy — skrzydlaty
Do rąk chyli mi kwiaty
I przynosi piosenkę
z za wzgórz...

Taka cisza wokoło —
Taka rzewna — tęskniąca —
Kwiatek chyli swe czoło
w mą dłoń...

A piosenka gdzieś drżąca
Płynie — ciszę zamąca
I mgłą marzeń otacza
mą skroń.

Henryk Schmeidl.

Sprawozdanie kolonii prac wakacyjnych w Psiej Dolinie.

Po długich trudach i staraniach redakcyi »Łanu Młodzieży« opuściliśmy mury Krakowa d. 2 lipca, by stanąć jak najprędzej u celu. Na szczęście dzień wyjazdu był nadspodziewanie pogodny, to też cała nasza podróż była rajem zachwyceń i marzeń, a szczególnie u punktu kulminacyjnego, w naszej uroczej Psiej Dolinie. Już na kilometr od naszego pomieszkania otworzył się przed nami wąwóz malowniczy, istny leonidasowski, wśród którego z olbrzymim chaosem boryka się potok czystej krynicznej wody. Z zachwytem pędzimy więc dalej i wyżej, a co krok spotykamy nowe dziwo. W tym pośpiechu zostawiliśmy daleko poza sobą furmanki, a sami naprzód na ślepo dotarliśmy do naszej rezydencyi dwumiesięcznej: jak okolica, tak i ta nas nie zawiodła; dostaliśmy zakopiański domeczek, złożony z 5 ubikacyj, schludny, cichy, woniejący dokoła otaczającym go ciemnym lasem, poza którym majestatycznie rozciąga swe stoki Polica i sędziwa Babia-Góra. W godzinę rozgościliśmy się już na dobre, ponapychaliśmy wysoko sienniki, umeblowaliśmy nasze 3 pokoje sypialne, a jadalnię i kuchnię przy pomocy pań: Maryi Piechockiej i Jadwigi Skibińskiej, i ochmistrzyni pani Konstantowej. W krótkim

czasie z kuchni dolatywał arcysmaczny zapach jajecznicy na kiełbasie przyprawionej. O godzinie 8-ej przy sygnaturce dzwonu zasiedliśmy z wilczym apetytem do podanej kolacyi. Wśród okrzyków zadowolenia i naprędce skombinowanego chóru, zakończyliśmy dzień pieśnią »Dobra noc«. Nieco zmęczeni drogą i ukołysani aurą górską, spaliśmy snem sprawiedliwych. Nazajutrz rano podążyliśmy do pobliskiego kościoła, w Sidzinie, na wotywę (godzina drogi z Psiej Doliny).

Dnia 4 lipca, wszyscy rzeźcy i zdrowi, wyruszyliśmy z pieśnią na ustach o godzinie 6-ej do pracy. Zaprawdę jednak dzień ten był prawdziwym chrztem pracy, bowiem już o godz. 9-ej zaczęło rosić coraz silniej, zajęci jednak wszyscy usilnie pracą, spostrzegliśmy dopiero to, gdyśmy już byli przemoknięci do nitki; koniec końców musieliśmy pracę przerwać od południa, a udaliśmy się do poblizkiego lasu, gdzie nastąpiło nad rozpalonem ogniskiem formalne suszenie odzienia, smażenie komiczne wędzonki, a co najprzykrzejsze, bandażowanie odcisków ód narzędzi na obu rękach. Dzień ten był dla nas prawdziwie przejściowym, ciężką próbą na przyszłość, jednak nie zachwiał on żadnym z nas. Wracaliśmy do domu z tem samem tempem, o tyle tylko spotęgowanem, że apetyt odczuwaliśmy niebywały. Zaraz po spożyciu kolacyi, wbrew przepisom regulaminu, który dopiero o 9-ej pozwalał iść spać, ułożyliśmy się do snu o 8-ej. O, jak słodki był ten sen! Dnie następne pracy zdawały się niekiedy zbyt długie, jak to bywa zwykle z początku. W sobotę dnia 9 lipca dostaliśmy pierwsze t. zw. konto. Pieniądze te były wzięte całkiem zbytecznie i dlatego rozeszły się, z małymi wyjątkami, na drugi dzień podczas wycieczki do Orawy, na węgierską granicę, zupełnie niepotrzebnie i niekorzystnie. To był jedyny ciężki grzech, jaki popełniła kolonia w czasie pobytu. Na obchód grunwaldzki wysłaliśmy deputacyę pod przewodnictwem szefa kolonii, kol. Tomaszka. Zrazu raziła nas nazwa naszej miejscowości, postanowiliśmy dać jej jakiś przyjemniejszy pseudonim, jednak po wypadku, jaki zaszedł — zdechł nam bowiem jedyny pies, nasz stróż i przyjaciel codzienny przy robocie — daliśmy wówczas pokój tej błahostce, a zajęliśmy się urządzeniem pogrzebu, który koszto-

wał nas 50 hal. Odtąd byliśmy mocno przekonani, że Psia Dolina całkiem racyonalnie nosi swe nazwisko. Robota nasza ograniczała się jedynie przy sypaniu drogi, zgodnie z objaśnieniami pierwotnemi redakcyi »Łanu młodzieży«. Zarobek nasz akordowy wynosił od 2 kor. do 2 kor. 40 hal. Na razie był to zarobek dość wysoki i gdyby nie dni ulewne, które nam często przeszkadzały w zajęciu, bylibyśmy materyalnie wyszli z pracy nadspodziewanie dobrze. I dni psotne nie poszły na marne; obrócone zostały na zbieranie grzybów, jagód, robienie soków, smażenie konfitur i t. p. Wogóle pracowaliśmy dni 26, reszta odpadła na dni słotne i święta. Po dokonanem obliczeniu zrobionych metrów drogi (metr drogi 2 kor.), usypaliśmy drogi 443 m., za które otrzymaliśmy 886 kor., nadto na podróż na głowę po 2 kor. i furmanki tam i z powrotem do pociągu. Po spłaceniu wszelkich długów miejscowych, za żywność i długów, pozaciąganych od krakowskich firm w kwocie 384 kor. — otrzymał każdy z kolonistów, który pozostał do połowy sierpnia, po 25 kor. wynagrodzenia, już z potrąceniem żywności, która wynosiła dziennie 75 hal. Wikt dzienny każdego kolonisty składał się z następujących porcyj: Rano o 6-ej przed wyruszeniem do pracy I-sze śniadanie: mleko i chleb z masłem, do pracy zaś każdy po 1 litrze mleka, 1 funcie chleba i 15 dk wędlin, a w post, zamiast wędlin, po 3 jaja, 4 dk masła i marmolady owocowej. Praca trwała tylko 8 godzin dziennie; a mianowicie: od 7 do 9½ praca, od 9½ do 10 śniadanie, od 10 do 12 praca; od 12 do 1 obiad, a następnie od 1 do 4 praca. O 4 koniec pracy, kąpiel i wymarsz do domu na podwieczorek gotowany (40 minut drogi); o 5 podwieczorek z dwóch dań, porcye podwójne. Kolacya o godzinie 8: kawa z chlebem lub mleko kwaśne z ziemniaczkami. Mięso, czyli pieczyste jadaliśmy tylko raz na tydzień. O godzinie 9 przy odgłosie dzwonu wszyscy udawali się na spoczynek. Po podwieczorku był czas rekreacyi; jedni spieszyli do lasu na grzyby, inni grali przeważnie w piłkę nożną, starszyzna zaś odbywała sesye. Słowem, wszystko szło jak z płatka. Byliśmy wszyscy zadowoleni z tej drugiej już kolonii, opartej na samodzielności własnej, a nie na łasce społeczeństwa. To też głośno, otwarcie i z dumą możemy się przyznać, żeśmy byli

na koloniach, żeśmy się bawili, lecz za własną pracę, a **nie za pieniądze z balów i festynów** — i **sądzimy, żeśmy odnieśli bardzo wielkie korzyści w każdym kierunku.** Serdeczne więc dzięki składamy pani Maryi Piechockiej, redaktorce »Łanu młodzieży«, która godnem postępowaniem najlepszej matki, wyszukała nam miejsce pracy jak najlepsze i najodpowiedniejsze, jak dla młodzieży kształcącej się umysłowo. Również wyrazy szacunku i podziękowania za opiekę nad kolonią zasyłamy ks. proboszczowi Czesławowi Hałacińskiemu, ks. prałatowi Czopińskiemu oraz pp. Dolaisom w Bystrej. Sądzimy również, że szanowna redaktorka »Łanu« nie poprzestanie na przyszłość dalej na tem polu pracować, dając tym sposobem i garstkom młodzieży prawdziwie polskiej, poznać to słowo drogocenne: »praca«.

Dałby Bóg, żeby szeregi nasze pomnażały się z roku na rok. Żegnamy też wszystkich kolegów pracowników, składamy im serdeczne »Bóg zapłać« za wspólne trudy dla dobra wszystkich, a na przyszłość każdemu z osobna »Szczęść Boże«.

Ogólny zjazd koleżeński pracowników niżej podpisanych odbędzie się dnia 15 sierpnia 1915 r. przed wielkim ołtarzem w kościele w Sidzinie. W razie nieprzybycia któregokolwiek z kolegów, należy wysłać list do redakcyi »Łanu młodzieży« w Krakowie.

Lista kolegów pracowników wraz z urzędami, rozdanymi przez wybór kolegów.

Walorzyści i rada starszych 9.

1. Antoni Tomaszek, szef kolonii, senior I.
2. *Zbigniew Czaderski, stud. IV r. filozofii, senior II, budzący.
3. *Józef Czernik, ucz. sem. naucz., ochmistrz kolonii, senior III.
4. *Józef Sidełko, ucz. akad. handl., kasyer.
5. Leon Lorens, ucz. sem. naucz., kapelmistrz kolonii.
6. *Witold Wróblewski, stud. z V r. medycyny, doktór kolonii.
7. Kołodziej Wincenty, ucz. ak. handl., ochmistrz II.
8. Stanisław Romański, ucz. sem., magazynier.

9. Alfred Matz, ucz. gimn., zastępca ochmistrza naczeln.
10. Henryk Matz, ucz. gimn., stolnik I.
11. *Tadeusz Dukalski, ucz. sem., stolnik II.
12. Stanisław Szpil, ucz. szkoły real., krajczy.
13. Franciszek Celarek, nadzorca zabaw.
14. *Stanisław Czaderski, ucz. szkoły przem., posłaniec.
15. *Józef Medes, ucz. gimn.
16. *Wincenty Klimowski, ucz. szk. wydz.
17. *Kasza Jan, ucz. gimn.
18. Kurzawa Aleksander, ucz. gimn., posłaniec II.
19. Eugeniusz Białek, reżyser kolonii.
20. Konstanty Witkowski, ucz. akad. handl., dłużnik kolonii...

Z tych dwudziestu pozostało do połowy sierpnia czternastu kolonistów. Kilku odesłaliśmy dla zbyt małej wydatności pracy, jednego wyrokiem rady starszych, zaś do 29 sierpnia pracowało 9-ciu kolonistów, którzy są oznaczeni gwiazdkami. *Józef Czernik*, kand. IV r. sem. naucz.

Sprostowanie: Ponieważ «Rada Starszych» nie zgodziła się na usunięcie życzliwego zdania pod moim adresem, mam nadzieję, że czytelnicy sami sprowadzą je do spełnienia prostego obowiązku wobec Szanownych Ojców i Matek naszych dzielnych kolonistów. W istocie, miałam do pomocy cały szereg współpracowników, którzy naszą kolonię pracy stworzyli radą, kierunkiem, ufnością w siły młode, w dobro sprawy. Nie mówię nawet o członkach naszej Redakcyi, bo tych już kanon «Łanu» obowiązuje służyć celom wychowawczym młodzieży. W pierwszym rzędzie J. C. i K. Wysokość Arcyksiąże Stefan z Żywca dał nam dowód nowy, że bliskie są mu nasze cele. Zarząd dóbr leśnych nietylko był względem nas bez zarzutu, ale niewidzialnie i dyskretnie zdziałał dużo dla naszych nowicyuszów pracy i swobody. Główny pełnomocnik dóbr Arcyksięcia Stefana pan Röwer: był na każdym kroku dla naszych młodych pięknym wzorem sprężystości, obowiązku i honoru. Cieszymy się wielce, że pożegnał ich słowami: «Do widzenia w roku przyszłym». Młodzież odpowiedziała ochotnie na zaproszenie, a powita serdecznie gajnych: p. Brysia, Włocha, Hojosa, nadleśniczówkę p. Schönowitza, zacnego pana Röwera i lasy nieprzejrzane i gronie, a nawet... pracę.

Marya Piechocka.

Rzut oka na historyę rachowania.

Dodawanie, odejmowanie — to dziś rzecz tak powszechnie znana jak czytanie i pisanie. Wprawdzie spotyka się wśród gminu osobniki, które w razie potrzeby dodania dwóch

prostych liczb np. 3 do 5 muszą posługiwać się metodą możliwie najprymitywniejszą, wypisaniem odpowiedniej ilości kresek ||||| i policzeniem ich na palcach, ale to już znika razem z analfabetyzmem; kucharka nie umiejąca pisać, potrafi sobie zrobić rachunek wydatków w mieście. Za nieznajomość tabliczki mnożenia na pamięć, dziś w klasach normalnych dostaje się dwóję siarczystą, a wykonywać na papierze mnożenia, dzielenia, pierwiastkowania nawet wielkich liczb umiemy z niezwykłą łatwością. Historya matematyki mówi nawet o ludziach, którzy na pamięć potrafili wyciągać trzeci pierwiastek z liczb kilkudziesięciocyfrowych. Nie od razu jednak człowiek stał się panem rachunku, to też szkoda, że tak mało kto stawia sobie pytanie, komu tę olbrzymią wygodę zawdzięcza i zastanawia się nad znaczeniem dziesiętnego systemu. System dziesiętny to ten genialny pomysł, który przyczynił się do niebywałego postępu techniki liczenia i naturalnie do rozwoju matematyki wogóle.

W szkole na pierwszej lekcyi rachunków mówi nam profesor: rozróżniamy cyfry rzymskie i arabskie, pierwsze z nich to znane nam znaki I, V, X, L, C, D, M, a drugie 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9. W powiedzeniu takiem mieści się również wielki błąd, jak niewdzięczność. Przedewszystkiem nasz dziesiętny system pochodzi nie od Arabów, lecz od Hindusów, od których dopiero za pośrednictwem uczonych arabskich, dostał się do chrześcijańskiej Europy. Pierwszy wprowadził go uczony matematyk Gerbert, późniejszy papież Sylwester II. Nie na odmiennych znakach polega jednak genialność dziesiętnego systemu, znaki na oznaczenie najprostszych liczb można sobie pomyśleć jakkolwiek; istota rzeczy leży w tem, że nie tylko sam znak, ale i jego położenie, pozycya, posiada znaczenie dla wartości liczby; tensam prosty symbol na innem miejscu postawiony, stanowi nieraz o życiu człowieka. (Zauważyć przytem należy, że liczby sposobem indyjskim piszemy od ręki prawej ku lewej, co dowodzi w istocie wschodniego ich pochodzenia).

Dla zrozumienia istoty a zarazem genialności pomysłu dziesiętnego systemu wyobrażamy sobie w jaki sposób zabralibyśmy się do pomnożenia 2 liczb napisanych sposobem rzymskim np. LXXXVII przez CCCXXIX; nam wydaje się to zadanie prawie niewykonalnem, a i starożytni nie wiele

lepiej sobie radzili. Musieli do prostego rachunku wzywać tak zwanego ἄβαξ, abacus, tabliczki porowkowanej, w której posuwano kamyczki, coś podobnego do dzisiejszego liczydła używanego w szkołach elementarnych. Był to sposób równie niewygodny, jak niedołężny, niegodny wysokiej starożytnej kultury. Tembardziej powinniśmy się cieszyć, że przecie znalazł się genialny pomysł, który zresztą mógł wcale nie powstać, powinniśmy czuć wdzięczność dla ducha prakultury indyjskiej. Sposób rachowania indyjsko-arabski nosi nazwę algorymu od nazwiska uczonego arabskiego, który pomysł dziesiętnego systemu przyswoił drogą tłómaczenia z indyjskiego oryginału kulturze arabskiej.

W. G.

TAJFUN.

Nie łatwo odczuć ani poznać ducha jednostki. Trudniej jeszcze określić i osądzić geniusz narodu i to obcego rasą, religią, językiem, całą przeszłością wiekowej kultury.

A jednak kuszą się o to psychologowie, historycy, literaci; proszę zauważyć, że nie mówię: sztaby główne wojsk, bo armie i wodzowie ich — decydują o losach milionów dusz, znając je o wiele mniej, niż przechodnie krzaki w żywopłocie przydrożnym.

Ale przychodzi dramaturg Sofokles, czy Goethe, czy Fredro, czy Lengyel i mówi: patrzcie: tak czuje Grek, owak myśli Niemiec, tak śmieje się Polak — inak działa Japończyk. I my, widzowie bierni, jak dzieci otrzymujemy w teatrze poglądową lekcyę życia narodów.

»Tajfun« jest porządnie opracowanem studyum spostrzeżeń nad zdenerwowaną Europą w jej rozkładowym fermencie ludów romańskich, powiedzmy dokładnie: Francyi i jej bezmyślnych naśladowców; z drugiej strony daje wcale niezły szkic celowej i mrówczej pracy Japonii — nowoczesnej Sparty — w stosunku do Rosyan z pod Mukdenu. Nie dzisiejsi Japończycy dokonali cudów bohaterstwa; i my, dzieci tej chwili, cierpimy na chorobę przeszłości.

Japonia od kilku dziesiątek lat spostrzega, bada, uczy się, działa i... milczy.

Szeregi zwarte kują na uniwersytetach zagranicznych i to tak zawzięcie, że student Japończyk, przyjęty owacyjnie w sali przed wykładem w Wiedniu przez zapalonych kolegów-polityków, wziął ich gratulacye za objaw życzliwości koleżeńskiej po swoim świeżo pomyślnie złożonym egzaminie. On tylko jeden w całej auli nie wiedział o najnowszym tryumfie swej Ojczyzny — bo mu ta Ojczyzna kazała w tej właśnie chwili skupić się na jednym przedmiocie nauki, i to nauki obcej. Wszak tymczasem inni mieli oddaną straż nad Japonią, a każdy z jego braci, tak pilnował jej sprawy u portu Artura, jak on swego rygorozum nad Dunajem.

I oto dlaczego okręty rosyjskie wylatywały w powietrze, inne tonęły, by nawet i imię floty rosyjskiej usunąć z żeglugi świata i oto dlaczego Japończycy zdobywają Koreę kraj obcy — a my tracimy własny zagon i jesteśmy nędznymi dzierżawcami... własnej ziemi. Z chciwością niemal śledziłem każdy objaw tej mocnej duszy japońskiej w dramacie. Chciałem ją pochwycić na gorącym uczynku »stającej się potęgi« i niemal cierpiałem fizycznie, widząc na niej kultury mikrobów zepsucia francuskiego, powiedzmy szczerze... naszego, my, Francuzi północy...

Wśród garstki Japończyków, chłonących wiedzę zachodu w Paryżu, wódz ich duchowy i najzasłużeńszy doktor Tokeramo, poznaje i kocha przewrotne, kapryśne i piękne stworzenie, Helenę, która dręczeniem go dokumentuje częsty i u nas typ histeryczki w ciągłej pogoni za wrażeniami. Przyjaciele Tokerama, a jeszcze zapaleńsi miłośnicy Japonii ostrzegają uczonego rodaka, by oddalił od siebie tę dziwną awanturniczą gejszę. Tokeramo zgadza się potulnie. Nie obliczył się jednak z kobietą piękną a złośliwą; zwykłe to zwierzątko ludzkie, roznamiętnione i drapiące, kąsające, które gdy nie gryzie, to pluje na rzeczy najświętsze.

Cóż to »ją« obchodzi?

Łagodny, uprzejmy, zrównoważony Japończyk wreszcie traci moc panowania nad sobą. Dotknięty w swej miłości i w czci dla swej rasy, dusi histeryczkę bez słowa protestu. Wzywa natychmiast przyjaciół, ci w okamgnieniu zdając sobie sprawę z położenia, chcąc uratować uczonego od kłopotów sądownictwa, mają przyjąć winę na siebie. Z uniesieniem poświęca się młody, jeszcze »nieużyteczny« Japonii chło-

pak. który się sam oddaje w ręce sprawiedliwości. Tokeramo zgadza się dla dobra sprawy. Że jednak poczucie naszej idei prawa, naruszyło w nim japońskie sumienie, w chwili rozterki dusznej chce się przyznać do winy, jako »odpokutowanie za grzech« obce w tej formie, religii jego kraju. Przyjaciele nie dopuszczają do wyznania, karę za niepopełniony mord dobrowolnie ponosi niewinny: Ausai Yomoshi.

Tymczasem Tokeramo kończy swe dzieło, ale umiera przy pisaniu ostatniej kartki. Myśl o zabitej przesłoniła mu jednakże przed śmiercią widok ojczyzny. Słabnący, chory zwraca się ku Europejczykom, których przedstawia tu śmieszny trochę typ francuskiego publicysty, ateusza i amoralnego dekadenta.

Jestto niby dąb powalony, podcięty od korzenia, który padając oparłby się na zbutwiałym pniu u podłoża.

Prześlicznym jest japoński wieczór przystrojonych na chwilę w kimona doktorów japońskich, ich poezye samurajów przy świetle opalowej lampki i myśli tęskne na bruku paryskim do ziemi kryzantem i wschodzącego słońca.

Wśród bystrych odpowiedzi nauczyłem się uprzejmego wyrzucania za drzwi natrętów. Gdy się nerwowy Europejczyk dziwił, że doktor Tokeramo nie wyrzuca za drzwi impertynenckiego gościa, Japończyk odpowiedział z błogim uśmiechem:

— I dlaczegóż mam to uczynić? Wszakże pan Renard wyjdzie sam za chwilę... *Wid.*

Nulla dies sine linea.

Niema działania bez wysiłku. Nie wystarczy zdolność i usposobienie. Trzeba chcieć! a wola sprowadza wysiłek. W miarę gdy się przyzwyczaisz do jakiej czynności, wysiłek się zmniejszy i zrobisz lepiej i więcej z mniejszym trudem.

Gdyby ktoś wolał srebro od złota, mianoby go za szaleńca: niechże się nikt nie dziwi, jeżeli człowiek woli Boga niż złoto.

Ludzkość, a przedewszystkiem młodzież nigdy nie dosięgnie obowiązku, jeżeli nie będzie celować z wysoka, jak pocisk, któryby nigdy nie trafił do celu odległego, gdyby nie zaczął wznosić się powyżej.

Zło choćby przez kogo innego spełnione, rodzi zło.

V. Konkurs „Łanu Młodzieży“

na tłómaczenie wierszem utworu: Alma Tademy z angielskiego p. t. »From a polish forest« (Z polskiego lasu). Termin do 10 grudnia b. r. Nagroda: »Meir Ezofowicz« Orzeszkowej w angielskim przekładzie. Ozdobnie oprawne dzieło z ilustracyami Andriollego i portretem autorki.

From a polish forest.

Come and wander in the forest, wander deep and wander
[far
Till we rich the inmost stillness where the silver shadows
[are:
Where upon green moss the lichens and the scented needles
[fall,
Where the wind sings in tho tree-tops and no worldly
[voices call:
Squirrels rock among the branches, ferns and toad-stools
[deck the way,
Come and wander, come and wander on this dark and silent
[day!

* * *

When the moon shows, elves will meet us, burning with a
[wild blue light,
While their unseen music holds us wonder-stricken in the
[night:
All the toad-stools will be glowing, pale the hare-bell lantern's
[flame
While in golden chariots riding we forget the way we came:

There's a palace in the hollow where princesses laugh and
[sing,
While eternal childhood dances in the heart's unending
[spring...

* * *

Come! my feet shall wear glass slippers and uour hand shall
[hold my hand
Even though midnight ring, tov loyal not to know and
[understand:
Come! for we must face the dragon, armed with our enchanted
[sword,
And the prison door shall open to the magic of a word:
O the fairies are not dead yet, I can hear their voices still,
Come and find them, come and find them, in the forest on
the hill!

Laurence Alma Tadema.

Do pracy! Do siejby na polu studentów!

Chcąc dać młodzieży sposobność ćwiczenia sił fizycznych i przygotowania się do pracy podczas wakacyi, kupiłem 5 morgów ziemi w Zakrzówku, w obrębie Wielkiego Krakowa. — Tu młodzież także będzie mogła zająć się gospodarstwem w rozmaitych kierunkach. Tu można przerabiać surowe płody ziemi na produkty przemysłu. We wrześniu będziemy siać zboże ozime i oczyszczać ziemię z chwastów. Na dalszym planie jest drenowanie pola i budowa bursy o ile można siłami studentów.

O dniu poświęcenia pola i rozpoczęcia pracy zawiadomię młodzież w dziennikach.

Pole to nazwałem «Grunwaldem» ku uczczeniu pamiątki sławnego zwycięstwa i w celu zagrzania młodzieży do bohaterskich wysiłków, aby przygotować lepszą przyszłość narodu.

X. Franciszek Gołba.

Z życia młodzieży.

Gimnazyum IV. 10 września b. r. zwiedzali uczniowie gimnazyum IV. pod przewodnictwem dyrektora i profesorów wystawę Jagiellońską. Dyrekcya wystawy udzieliła zniżki ceny wstępu do 10 hal. od osoby,

a sekretarz Tow. sztuk pięknych p. radca Lepszy, oprowadzał uczniów po salach, tłómacząc w sposób przystępny pochodzenie i znaczenie zabytków. Uczniowie gimnazyum IV. składają mu za to serdeczne podziękowanie.

Samorząd uczniów w szkołach średnich. C. k. Ministeryum W. i O. powołało do działania w szkołach średnich nowe instytucye, zapewniające poszczególnym klasom pewnego rodzaju samorząd.

Każda klasa wybiera sobie rząd, składający się z marszałka, wicemarszałka i sekretarza; zadaniem «rządu» jest kierowanie wszelkiemi sprawami i działaniami klasy, wreszcie ma być on stróżem właściwego zachowania i porządku. Spory między współkolegami załatwia, tudzież naznacza kary za przestępstwa i przewinienia, trybunał sądowy na oskarżenie prokuratora. W skład trybunału wchodzi sędzia i dwu wotantów, uchwały spisuje sekretarz sądowy. W sprawach większej wag powołuje się ławę przysięgłych w liczbie 8-miu, wyroki podpadają kontroli «komisarza rządowego», t. j. gospodarza klasy. Tak rząd jak i sąd mianuje sejm całej klasy, który też urzędnikom wydaje instrukcye. To ogólne zasady — co będzie z projektów — przyszłość okaże, dziś nie da się jeszcze nic powiedzieć.

A. P.

Notatki historyczne.

Wrzesień.

Wielka Rewolucya. Czasy napoleońskie.

1. 1807. Bombardowanie Kopenhagi z powodu przystąpienia Danii do blokady kontynentalnej.

2. 1792. Stracenie 1500 oskarżonych z więzień paryskich. Francuzi opuszczają zajęty Egipt, który się dostaje nominalnie pod zarząd Egiptu w traktacie lunewilskim.

3. 1792. Tłum obnosi głowę księżnicki A. Lamballe na ostrzu piki. 1807. Pobór 160.000 rekruta na wojnę z Hiszpanią, pośród licznych niechęci południowych departamentów.

4. 1796. Zwycięstwo Austryaków koło Roveredo pod Wurmserem 1870. Nazajutrz po Sedanie, Francuzi obwołują : Trzecią Republikę.

5. 1769. Zwycięstwo pod Caliano. Wzięcie Trydentu. Massena ściga Austryaków wąwozem alpejskim.

6. 1792. Grégoire w mowie swej nazywa królów Istotami drapieżnemi. 1796. Zmyślona ucieczka Bonapartego w północnych Włoszech, powrót przez Brentę i zwycięstwo pod Primolano (1 koalicya).

7. 1812. Zwycięstwo nierozstrzygnięte pod Moskwą Neya nad gen. rosyjskim Kutuzowem.

8. 1800. List Bonapartego do Ludwika XVIII z odrzuceniem przymierza i zamiaru jego powrotu do Francyi (Konsulat).

9. 1808. Ugoda w Paryżu z Prusami, zmuszonemi do zapłaty 140 milionów kontrybucyi.

10. 1809. Dekret nakazuje stopienie wszystkich ołowianych i żelaznych części pałaców Wersalu i Marly na kule armatnie! 1811. Napoleon przedsiębierze wielkie prace w porcie Antwerpii dla przeciwstawienia go Londynowi w celu zniszczenia handlu angielskiego.

11. 1792. Brat Ludwika XVI i ks. Artois z 6.000 konnicy łączą się z armią pruską. 1802. Przyłączenie Piemontu do Francyi pomimo sympatyi krajowców do Włoch.

12. 1787. Bonaparte wraca z Korsyki do Paryża i żąda przyjęcia go do służby wojskowej.

13. 1791. Król zrzeka się noszenia sznurów błękitnych orderu Ducha św. 1798. Pierwsza wystawa przemysłowa w Paryżu.

14. 1791. Ludwik XVI podpisuje Konstytucyę. Zwycięstwo Francuzów nad Wurmserem; od 1—15 września zabito 27.000 Austryaków, wzięto 75 armat i 22 sztandary.

15. 1812. Wejście Francuzów do Moskwy, wśród nieopisanego zapału żołnierzy na widok Kremlina.

16. 1812. Rostopczyn podpala Moskwę, by się pozbyć Francuzów.

17. 1793. Prawo tyczące się: Podejrzanych. Konwent ustanawia w całej Francyi Komitety rewolucyjne.

18. 1799. Bitwa pod Zurychem. Manewry Masseny celem przecięcia drogi arcyksięciu Karolowi do połączenia się z Suwarowem.

19. 1796. List Napoleona do Republiki weneckiej, zapewniający jej wolność. Obietnica niedotrzymana...

20. 1792. Zwycięstwo wojsk rewolucyjnych pod Valmy. 1815. Niełaska Fouché i Talleyranda, którzy opuścili Napoleona dla Burbonów.

21. 1792. Ogłoszenie I. Rp. fr. po oskarżeniu Ludwika XVI.

22. 1792. Konwent orzeka, iż naród ma prawo wybierania swych sędziów z pośród współobywateli. 1807. Ustanowienie Izby rachunkowej dlaześrodkowania finansów franc.

23. 1805. Wymarsz 150.000 wojska i 400 armat nad Dunaj (Cesarstwo).

25. 1800. Wzięcie Malty przez Anglików, którzy ją odebrali Rycerzom Maltańskim.

26. 1811. Dekret przeciw wolności prasy. Liczba drukarzy w Paryżu ograniczona do 60. 1802. Projekta budowy kanałów dla podniesienia wewnętrznego handlu we Francyi.

27. 1789. Swięcenie sztandarów gwardyi Narodowej w kościele P. Maryi. 1808. Spotkanie w Erfurcie cara Aleksandra i Napoleona, który mu poświęca Szwecyę i Turcyę.

28. 1709. Traktat Hiszpanii i Portugalii dla obrony przeciw wpływom Anglii.

29. 1800. Traktat Francyi i Stanów Zjednoczonych przeciw Anglii.

30. 1791. Konwent się rozwiązuje, ułożywszy prawa, na których oparł się współczesny świat.

Giacomo Meyerbeer, a właściwie Jakób Meyer Beer, kompozytor, był synem berlińskiego bankiera. Kształcili go Clementi i Weber. Ani pierwsze jego kantaty, ani opery: Przysięga Jeftego i Dwaj Kalifowie nie zyskały mu rozgłosu. Przykład Rossiniego skierował go do efektowniejszego sposobu tworzenia. Margharita D'Anjou, Semiramida, Robert Dyabeł głównie już zaćmił sławę Rossiniego, Aubera, oraz Hugonoci, opera do dziś ulubiona dla bogactwa motywów.

W r. 1842 król pruski mianował go generalnym kierownikiem orkiestr z obowiązkiem przebywania 4 miesięcy w Berlinie. Urząd był raczej honorowy, a 4.000 talarów pensyi zrzekł się Meyerbeer na rzecz kapeli. Czyniąc obowiązkom zadość napisał dla opery berlińskiej: Obóz Szląski i Proroka. Przed śmiercią (w r. 1864) wystawił Afrykankę, operę ukończoną od lat 20. Meyerbeer miał dziwną zdolność przyswajania sobie ducha muzyki różnych narodów, zlewając ją w nowych motywach. Zostawił książęcy majątek, z tego część na stypendya dla zdolnych muzyków, uczniów konserwatoryów berlińskiego i kolońskiego. Ubiegający się mają na przepisany temat skomponować fugę ośmiogłosową na podwójny chór, uwerturę orkiestralną i trzygłosową kantatę z orkiestrą.

Walter Scott (* 1771 † 1832). Sławny szkocki poeta i powieściopisarz, urodził się w Edynburgu. Był synem adwokata. Dla słabego zdrowia młodość spędził u dziadka na wsi. W 13 roku poznał Percy'ego i »Reliques of ancient English poetry«; dzieło to wywarło duży wpływ na jego rozwój; w szkołach ani w uniwersytecie nie uchodził za zdolnego ucznia; wcześnie jednak odznaczał się wybitnie miłym i pogodnym charakterem, którego nawet późniejsze ciosy nie wypaczyły. Już jako adwokat tłómaczył romantyków niemieckich. Powodzenie jego powieści dozwoliło mu nabyć majątek średniowieczny: Abbotsford. Bankructwo Balantyna i Constable przyprowadziło go do ruiny, ponieważ nie skorzystał z przysługującego mu w Anglii prawa zrzeczenia się odpowiedzialności za długi firm. Dobrowolnie przyjął spłatę olbrzymią 120.000 funtów szterlingów i zaprzągł się z wytrwałością niezmordowaną do pracy literackiej, by długi pokryć. Dotrzymał słowa i dosłownie »zapracował się na śmierć«. Napisał ballady: »The ministrelsy of the Scolish border«, staroangielskie powieści: »Sir Tristam«, rycerski poemat: »Marmion«. »Pani jeziora«, śliczne opisane przez W. S. okolice, stały się miejscami pielgrzymek. W poematach charaktery nie są pochwycone trafnie. W powieściach błąd ten znika. Sławę zjednały mu historyczne powieści: »Waverley«, »Gwido Mannering«, »Kenilworth«, »Quentin Durward«, »Ivanhoe« z czasów Ryszarda Lwie Serce. Historyczna uczciwość autorska nie pozwoliła mu nigdzie naciągnąć faktów ani charakterów do swych przekonań. Dzieła jego tłómaczono na wszystkie europejskie języki.

Treść Nru 13 i 14: Z pamiętnych wakacyi. — Celowe wywczasy. — U wrót nowego życia. — Z Kongresu hygieny szkolnej w Paryżu. — Z nad Bałtyku. — Marzenie (wiersz). — Sprawozdanie kolonii prac wakacyjnych w Psiej Dolinie. — Rzut oka na historyę rachowania. — Tajfun. — Nulla dies sine linea. — V. Konkurs „Łanu Młodzieży". — Do pracy! Do siejby na polu studentów! — Z życia młodzieży. — Notatki historyczne.

Odpowiedzialni redaktorowie i wydawcy: Dr Tadeusz Grabowski i Marya Plechocka.

Z drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.